



Fot. HALINA VOGEL

Po kongresie Penclubów

W pierwszej dekadzie lipca obradował w Bledzie w Jugosławii 33. Kongres Międzynarodowej Federacji Penclubów. Z ramienia polskiego Penclubu w kongresie uczestniczyli: prezes Jan Parandowski, sekretarz generalny Michał Rusinek oraz Wojciech Natanson i Jerzy Zagórski. Z Polski przyjechali również — Jan Kott, Janina Brzostowska oraz Maria Bechzyć-Rudnicka.

Po powrocie z Jugosławii o kongresie mówi Michał Rusinek.

— Do Bled przyjechało ponad 500 delegatów z ok. 50 krajów.

Głównym tematem obrad kongresu była sprawa więzi literatury ze społeczeństwem. Do najciekawszych głosów w dyskusji należały wystąpienia Pablo Nerudy, Leonida Leonowa, Stevensa Spendersa, Arthura Millera. W wypowiedziach pisarzy zachodnich często brzmiały akcenty powątpiewania w przyszłość literatury, wspólny język pisarza z czytelnikiem. Zupełnie inny był ton wypowiedzi pisarzy z krajów socjalistycznych. Leonid Leonow podkreślił ważną rolę i odpowiedzialność pisarza w dzisiejszym świecie.

— Jaki był udział naszej delegacji w pracach kongresu?

— Jan Parandowski przewodniczył jednej sesji kongresu. Jan Kott występował na sympozjum UNESCO. Również W. Natanson i J. Zagórski brali żywy udział w obradach. W. Natanson na posiedzeniu Komitetu Egzekutywy m. in. upominał się o uczczenie 100. rocznicy urodzin Stefana Żeromskiego. Jeśli chodzi o mnie, mówiłem o rozwoju czytelnictwa w Polsce.

— Na kongresie w Bled dokonano wyboru nowego prezesa Federacji. Został nim — jak wiadomo — Arthur Miller. Sekretarzem generalnym został ponownie Dawid Carver z Penclubu angielskiego.

Ustalono też terminy i miejsca następnych spotkań pisarzy. W październiku br. odbędą się w Awignonie konferencja okrągłego stołu, następnie w Hong-Kongu spotkanie pisarzy krajów azjatyckich. 31 kongres Penclubów obradować będzie w 1966 r. w Nowym Jorku, a 35 — w 1967 r. na Wybrzeżu Kości Słonowej.

U spółdzielców w Gaci i Markowej

Znał osobiście Marię Dąbrowską posłowie chłopscy stronnictw ludowych w Rzeszowskim, zasiadający po pierwszej wojnie światowej w pierwszym sejmie prawie co odrodzonego państwa polskiego. Od roku 1918 była przecież urzędniczką Ministerstwa Rolnictwa. Z tego okresu (1921) pochodzi jej broszura pt. „O wykonaniu reformy rolnej”. W roku 1923 kierowała biblioteką i referatem prasowo-wydawniczym w Ministerstwie Reform Rolnych.

Tutejsi prenumeratory i czytelnicy „Zarania”, „Polski Ludowej”, „Spolem” czytali liczne jej artykuły publicystyczne o tematyce chłopskiej i spółdzielczej oraz recenzje z wydawnictw ludowych, zamieszczane w tych czasopismach. Inicjatywie autorki „Ludzi stamtąd” zawdzięczają niektórzy chłopcy Rzeszowskiego druk swych pamiętników, które zaszczycone pierwszą nagrodą „Wiadomości Literackich” w roku 1937, znalazły się w tomie „Pamiętniki chłopów”.

W obrębie spraw chłopsko-ludowych szczególnie interesowały Dąbrowską kwestie spółdzielczości wiejskiej. W jej zorganizowaniu i rozwoju upatrywała ona sposób polepszenia bytu chłopca polskiego i robotnika. Spółdzielczość stanowi też jeden z głównych nurtów tej bogatej publicystyki. Odwiedzając najważniejsze, prowincjonalne często, ośrodki spółdzielcze w kraju, uwieczniała je potem pisarką w licznych reportażach.

Owo zainteresowanie sprowadziło autorkę „Nocy i dni” do spółdzielczych wsi rzeszowskich: Gaci i Markowej. Podczas gdy innych pisarzy, jak np. Jana Wiktora i Leona Kruczkowskiego, ciągnęły do prężniejszych wiosek radykalny ruch i teatr ludowy, oryginalne idee wychowawcze Ignacego Solarza, Dąbrowską sprowadził tu pionierski rozwój spółdzielczości, głównie zaś założona w roku 1936 przez Solarza i innych działaczy ludowych pierwsza spółdzielnia zdrowia w Markowej.

W Gaci zjawiała się Dąbrowską zimą 1938 roku. Przyjechawszy do Przeworska, bez żadnej zapowiedzi, zwykłą furmanką przybyła do głównej wówczas i komunizującej kuźni młodzieżowego ruchu chłopskiego i spółdzielczości wiejskiej. Choć na chwilę pragnęła przyrzeć się praktycznej realizacji wskazań wielkiego pedagoga i spółdzielcy w gackim uniwersytecie ludowym. Otrzymała w Gackiej Górze skromny pokój i uprzedziwszy kierownictwo, aby jej obecność w niczym nie

przeszkadzała normalnemu tokowi zajęć, była zwyczajnym gościem tejże placówki.

W Gaci i w Markowej zabawiła Dąbrowska kilka dni. Szkoda, że odwiedzin tych nie uwieczniła reportażem, jak to zwykła była robić w innych wypadkach. Coś niecoś jednak z owego pobytu znalazło się w „Rekach w uścisku” (1938). W tej rzeczy o spółdzielczości pisząc o spółdzielniach zdrowia, które jej zdaniem miały rozwiązać kwestię zdrowotności wsi polskiej, poświęciła nieco miejsca i spół-

ALEKSANDER ŻYGA

dzielnia zdrowia w Markowej. „Ukraińcy mają ich (spółdzielni) zdaje się trzy, Polacy dopiero jedną, we wsi Markowa, koło słynnej ze swego uniwersytetu wiejskiego, ładnie skoooperatyzowanej, bardzo kulturalnej, a tak w reakcyjnych i rządowych sferach niepopularnej Gaci pod Przeworskiem. Zwiedzałam tę spółdzielnię zdrowia w Markowej. Czyni ona wręcz rozczulające, niezapomniane wrażenie. W czystej, pięknej chacie, biała izba przyjęć, umeblowana według wskazówek fachowców przez miejscowego stolara i doskonale w najkonieczniejsze narzędzia i pomoce lekarskie zaopatrzona. Są nawet fotele ginekologiczne oraz dentystryczny dla przyjeżdżających dwa razy na tydzień specjalistów. Lekarz spółdzielni mieszka w tymże domu i do południa przyjmuje chorych, po południu odwiedza ich, posługując się w swych wędrówkach nierzadko — zimą nartami, w lecie rowerem. Lekarz spółdzielni w Markowej, chłop z pochodzenia, młody człowiek z radosną twarzą szczęśliwego pioniera, zdobył sobie w ciągu kilku miesięcy zaufanie pacjentów. Patrząc na niego, trudno nie myśleć, że to jest nowoczesna realizacja Judyma, tylko, że Jonsia nie została tym razem piącą pod rozdarta sosną, lecz jako żona, działaczka kół młodzieży wiejskiej, jako sanitariuszka pomaga mężowi w podnoszeniu zdrowotnego poziomu wsi(...) Dziwnym zbiegiem okoliczności młody ten doktor wiejski nosi nazwisko Władysław Ciekot, a jak wiadomo w Ciekotach urodził się twórca doktora Judyma, Żeromski. Prawdziwy nomen omen(...) Spółdzielnia w Markowej założona została przy czterystu członkach, jest nadzieja, że niebawem wszyscy mie-

szkańcy (a jest ich około tysiąc domów) zostaną jej członkami, gdyż popularność zdobywa z każdym dniem większą. Badania i konsultacja kosztuje dwa złote, badania i zabiegi specjalne mają swoją taksę odpowiednio wyższą, ale bardzo niedrogą. Spółdzielnia działa na zasadach zwykłej kooperatywy spożywców, oparta jest na 10-złotowych udziałach, dochód po potrąceniu kosztów i uposażeniu lekarza oraz funduszu zapasowego i rozwojowego dzielony ma być jak zwroty do roczne między członków spółdzielni w stosunku do ilości udzielonych im porad i świadczeń”.

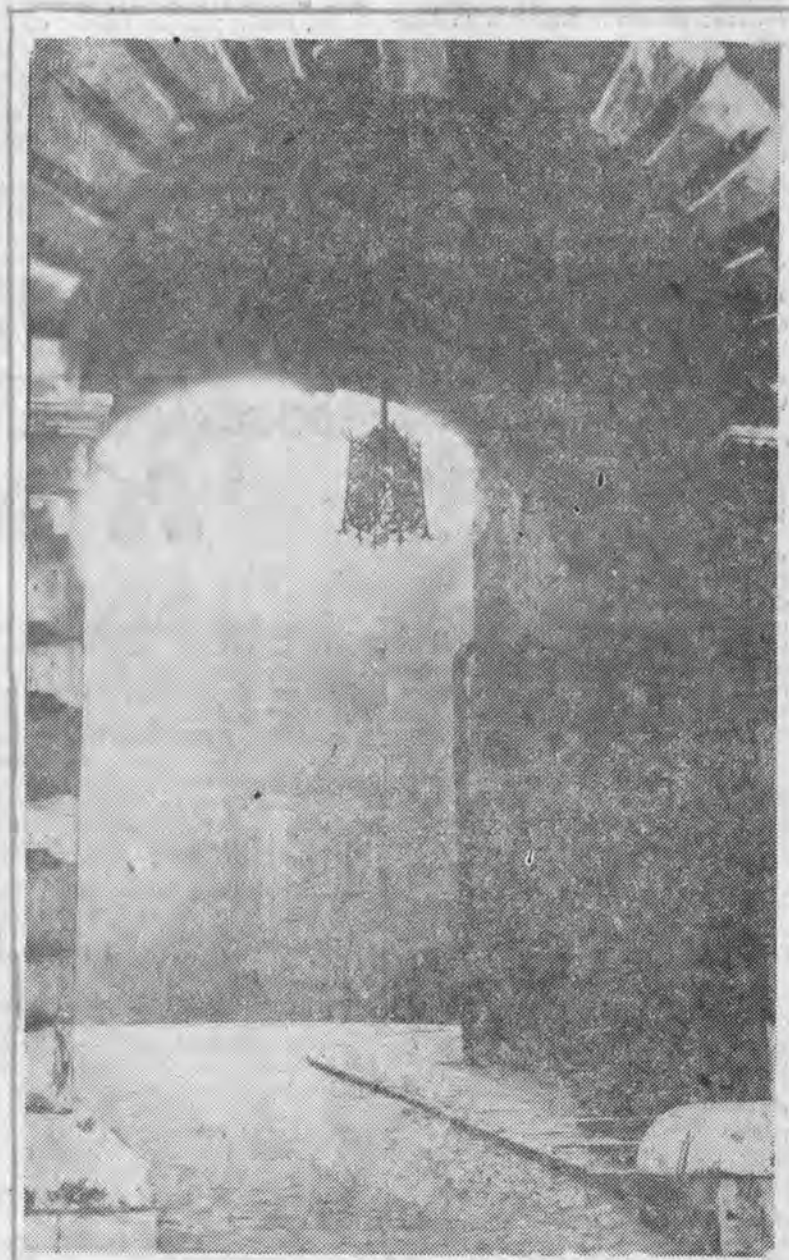
Spółdzielnię w Markowej stawiała Dąbrowska za wzór tego rodzaju instytucji w kraju. Później nie zapomniła także zwrócić uwagi na powstanie w powiecie łańcuckim innej placówki spółdzielczej: założonej tu dzięki zabiegom Władysława Możdżenia, chłopca z Kraczkowej, spółdzielni budowlanej. W programie spółdzielni szczególnie podkreślała postulat zajęcia się planową i estetyczną zabudową wsi.

Pobyt w Gaci i w Markowej dał Dąbrowskiej asumpt do zaznajomienia się nie tylko z wcielaną tu w życie na różnych frontach ideą spółdzielczości, ale i całokształtem życia wiejskiego. Przybywając tu znaną była nie tylko jako powieściopisarka, lecz raczej jako autorka „Rozdroża” (1937). Książka ta w której w umiarkowany sposób domagała się przeprowadzenia reformy rolnej, zjednała jej na wsiach wielką popularność. Uczestniczyła Dąbrowska w zorganizowanym w Gaci ogólnowiejskim zebraniu, na którym „Rozdroże” było szeroko dyskutowane.

Jak wspomina Zofia Solarzowa, cała wieś była ogromnie wzruszona obecnością pisarki. Na jej cześć zespół gacki pod kierownictwem twórczyni „teatru z głowy” zainscenizował „Orkę na ugorze” Jana Wiktora. Dąbrowska zachwycona była interesującym wystawieniem na wiejskiej scenie głośniego wówczas dzieła tego pisarza, „szukała spośród nowel swoich takiej, która dalaby się podobnie zagrać”.

Podobnie jak literatura ludowa i pamiętniki chłopskie, drogi był dla Marii Dąbrowskiej i teatr ludowy. Kiedy Solarzowa w objeździe ze swoim zespołem po środowiskach wiejskich i robotniczych zawitała do Warszawy, na występie jej zespołu w teatrze „Ateneum” w roku 1939 znalazła się także autorka „Nocy i dni”. „Na początku przedstawienia Jaracz czytał Orkana —

wspomina o tym po latach kierowniczką teatru gackiego. — Na widowni było ciasno tak, że ludzie tłoczyli się aż do sceny, aż do kulis, a nawet za kulisami. Kiedy skończyliśmy, pani Maria Dąbrowska weszła na krzesło i wołała głośno: „To jest prawdziwy teatr! To jest prawdziwy teatr ludowy”.



Fot. JÓZEF LIGEZA

Szyfman – budowniczy teatru

Nazwisko Arnolda Szyfmana związane jest nierozłącznie z dziejami naszego teatru w XX wieku. Myślę, że spośród wielu określeń, jakimi posłużyć można by się w stosunku do jego osoby, najtrafniejsze będzie słowo: budowniczy, Szyfman bowiem wybudował dwa teatry, co w rozwoju naszej kultury ma nieposłednie znaczenie: Teatr Polski przed pierwszą wojną światową i obecnie kończy właśnie wznoszenie Teatru Wielkiego Opery i Baletu. To są niby owe przysłowiowe kamienie milowe, wznoszące trudy jego życia. A wypadło mu żyć w okresie wyjątkowo dramatycznym, obfitującym w kataklizmy jak żaden inny.

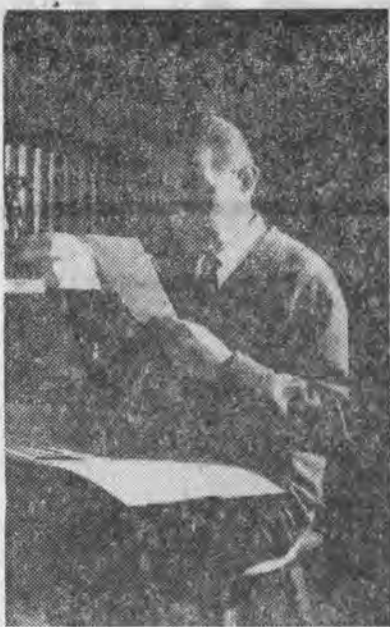
Kiedy w roku 1882 w małym miasteczku galicyjskim Ulanowie nad Sanem, słynącym z bogatych tradycji filisackich, rodzina Jakuba Szyfmana powiększyła się o chłopca, któremu dano imię Arnold, nikomu z najbliższych nawet nie przyszło do głowy, że porzuci on rodzinne tradycje splawu drzewa i zajmie się teatrem. Zresztą nic nie zapowiadało takiego obrotu rzeczy. Aż do oddania chłopca do gimnazjum w Krakowie, gdzie zamieszkał na stacji, przypadkowo trafił do teatru. Odtąd był już „zgulony”. Zaczęło to aż niepokoić rodziców, którzy wysławszy synowi pieniądze na podróż na okres świąteczny (jechało się z fasonem koleją do Rzeszowa, a stąd końmi do Ulanowa, a zwykle w dużej wsi, w Kamieniu, zatrzymywano się w karczmie na obiad) — nie doczekali się jedynaka i zmuszeni byli spędzić święta w towarzystwie córek. Dopiero po świętach doszedł ich list gimnazjalisty, w którym powiadał rodzicom, że na święta przyjechał nie może, bo pieniądze na podróż przeznaczył na bilety do teatru, wydał je bowiem na cztery przedstawienia, w których gra nie byle kto... Helena Modrzejewska!

— „To były początki mojej lekomyślności teatralnej — wspomina dyr. Szyfman z uśmiechem. Od przyjazdu do Krakowa stałem się wielkim miłośnikiem teatru, odtąd chodziłem prawie na każdą premierę. Teatr wpłynął również na kierunek moich studiów wyższych: studiowałem historię literatury i sztuk pięknych oraz filozofię, następnie przez rok byłem na uniwersytecie w Berlinie, głównie dla teatru, doktora zaś z filozofii, historii i sztuki zdałem w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wiedziałem, że nie będę aktorem ale wiedziałem również, że nie wyobrażam sobie życia bez teatru. Postanowiłem więc założyć w Krakowie własny teatr pod nazwą „Figliki” i w tym celu wynajmłem w krakowskim hotelu Saskim salę bałową... Niestety, nadszedł karnawał, a z nim bale, które urządzano co sobotę i niedzielę, nie można więc było grać. Trzeba było rozwiązać zespół, aktorzy wyjechali na prowincję.

Zostałem bez teatru, ale uwierzyłem w moje umiejętności artystyczne i finansowe, w ówczesnych warunkach niezbędne dla prowadzenia sceny.

Niedługo po tym Szyfman przenosi się do Warszawy, by osiąść już tutaj na stałe i podejmować się dzieł coraz większej miary. Rozpoczyna od założenia kabaretu „Mamusz” i postanawia zbudować prawdziwy, nowoczesny teatr. Pomysł ten zakrawał wręcz na absurd: w jaki sposób miał dokonać tego dzieła młody, dwudziestoparoletni człowiek, nie dysponujący żadnymi środkami oprócz zapasu i uporu! Szyfman błysnął wówczas nie lada talentem organizacyjnym, umiejętnością zjednywania ludzi z rozpalonych środowisk, umiejętnością trafienia do ich serc i kieszeni! To był prawdziwy majstersztyk: od chwili narodzin pomysłu do momentu ukończenia gmachu Teatru Polskiego upłynęło zaledwie 3 lata! Samą budowę wykonano w rekordowym tempie niepełnych 11 miesięcy. Data 1. II. 1913 r. weszła na stałe do historii naszej sceny. Nowo wzniesiony Teatr Polski w Warszawie wystąpił z premierą „Irydion”. Kierowany przez Szyfmana z wyjątkiem wojennych przerw (w czasie I i II wojny światowej) Teatr Polski do 1949 r. pretendował słusznie do miana jednej z pierwszych scen w kraju gromadząc doborowy zespół aktorski oraz zapewniając sobie współpracę wybitnych reżyserów — inscenizatorów, scenografów, autorów, tłumaczy,



DR ARNOLD SZYFMAN
Fot. Z. KWILECKI

Widocznie pamiętano w Polsce o talentach Szyfmana, skoro po latach, już w zupełnie nowych warunkach, przystępując do realizacji ogromnego dzieła budowy Teatru Wielkiego — powołano do kierowania tą pracą właśnie jego. Zresztą pamiętano o nim i w pięć lat później, gdy Teatr Polski zaczął się walić zaproszono go do ratowania sytuacji i w ten sposób był przez dwa i pół roku znowu dyrektorem Teatru Polskiego.

Rozpoczęte w 1950 roku prace przy budowie Teatru Wielkiego dobiegają właśnie końca. Najpierw wybudowano szkołę baletową, gmach mieszkalny dla aktorów i pomieszczenia biurowe, które już od kilku lat przeznaczone są dla załogi awaryjnej. Ponieważ dyr. Szyfman postanowił stworzyć ośrodek operowo-baletowy, więc zbudował Studio Operowe, lokale dla „ITI”, „Ruchu Muzycznego” i dla „Jazzu” oraz Muzeum Teatralne (pierwsze w Polsce) i wreszcie ambulatorium przeznaczone dla pracowników teatru i widzów teatralnych.

Nasza rozmowa odbywa się w obszernym gabinecie dyr. Szyfmana, ozdobionym paroma sztychami, przedstawiającymi dawną Warszawę. Dyr. Szyfman wrócił właśnie z widowni, gdzie montuje się fotele, wieszka kandelabry, kładzie dywany. Scena jest już gotowa od stycznia br., gdyż chodziło o to, aby umożliwić pracownikom przyszłego teatru próby, aczkolwiek mają do dyspozycji i salę prób, salę do ćwiczeń, orkiestry, salę chóru i cztery różne sale baletowe.

W październiku lub listopadzie br. uroczysta premiera otworzy podwoje Teatru Wielkiego. Będzie to wielkie święto polskiej kultury, przybędą goście z całego kraju i zagranicy. Będzie to również niejako prywatne święto dyr. Szyfmana, nieustrudzonego budowniczego. Oto

mam go przed sobą: niewysoki, drobny, ruchliwy, wprost trudno uwierzyć, że liczy sobie 83 lata. Raz po raz dzwoni telefon: to z budowy, to z miasta. Trzeba dobrać odpowiednie meble, inżynier taki a taki przypomina dyrektorowi, że jest umówiony z nim jutro o 14, ktoś zapytuje, czy zarezerwowano bilety na uroczystości inauguracyjne dla pana Poraja z Nowego Jorku. Szyfman tłumaczy rzeczowo, że nazwisko takie figuruje na odnowionej liście, że on sam osobiście przyrzekł to panu Porajowi i jak zwykle dotrzyma słowa...

To zdanie padło przypadkowo, ale myślę, że ono trafnie charakteryzuje całą działalność Szyfmana: jego życie — to dzieje rzetelnej roboty. W wolnych chwilach Szyfman pisze. Przed paru laty wydał zbiór swoich artykułów pt. „55 lat z teatrem”, przedtem zaś wspomnienia wojenne pt. „Moja tułaczka wojenna”. W ubiegłym roku ukazał się pierwszy tom jego pamiętników pt. „Labyrinth teatru”, drugi tom powinien być gotów w przyszłym roku, III i ostatni — w 1967.

Swoje „wychuchane dziecko” — Teatr Wielki zaopatrzył Szyfman we wszystkie dostępne urządzenia techniczne, jakimi dysponują nasze czasy. Nie ma dzisiaj na świecie teatru, który by posiadał tak doskonałe, kompleksowe wyposażenie techniczne: jeżeli nawet niektóre z nowych scen posiadają podobne urządzenia, to niemal żadna nie ma ich w całości. Budowa Teatru Wielkiego w dobie telewizji i innych nowoczesnych środków masowego przekazu budziła w naszym kraju rozmaite odgłosy, kontrowersje. Obok aprobaty nie brakło głosów, że jest to przedsięwzięcie zbyt kosztowne jak na nasze możliwości i nieco anachroniczne w obliczu ryśującego się zmierzchu tradycynej opery. Wydaje się, że głosy te może nawet niepozabawione słuszności teoretycznej, były jednak przedwczesne. Skoro raz podjęto decyzję budowy, nie podobna się było później wycofać i mimo wszystkich kłopotów kultura polska otrzymała obiekt wspaniały w swoich rozmiarach i charakterze, a jednocześnie zbudowany oszczędnie i niedrogo, prawdopodobnie z kilkumilionowymi oszczędnościami. Choć nie ukończony jeszcze, Teatr Wielki wzbudza już dzisiaj uczucie zachwytu, podziwu. W księdze pamiętkowej, wśród wielu opinii gości z kraju i z zagranicy, znalazłem słowa wpisane przez znakomitego pisarza Tadeusza Brzozę, który odwiedził teatr 3 czerwca br.: „Z szacunkiem i zachwytem oglądałem gmach nowej Opery. Z szacunkiem dla ogromu pracy włożonej w ten gmach przez wszystkich, którzy nad nim pracowali. Z zachwytu dla koncepcji, nowoczesności wnętrza i niezwykłego smaku planów i wykonania. Teatr — Pniewski — Szyfman — godzien jest najwyższego uznania. Jeśli spektakle przyszłej opery staną na poziomie tego co oglądałem, będziemy mieli w Warszawie jedną z najwspanialszych oper świata”.

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

BOGDAN LOEBL

Kamienie (Fragment)

Już wiedział, że nic im dziś nie powie, w każdym razie nie teraz. Wyobraził sobie, jak by to było, gdyby jednak wyrzucił z siebie nagle tę wiadomość, niemal ujrzał, jak rozpryskuje się spokój, który mieli na twarzach, usłyszał jazgotliwe głosy wypełniające ściany pokoju...

„Nie dopuszczono mnie do matury, wiecie? Nie będę zdawał matury. Nie udlawiliście się? Możecie jeść dalej?”

Matka uniosła głowę znad talerza, napotkała wzrok Andrzeja i widocznie dostrzegła głód w jego oczach, bo sięgnęła po stojący obok niej garnek. Skrzywił się.

— Nie jesteście głodny? — spytała.

— Nie.

— Nie smakuje, co? — odezwał się ojciec głosem stłumionym kukurudzianką, której miał pełne usta — błękitne podniebienie, co? Błękitne podniebienie nie pozwala ci tego jeść. — Przeknął kukurudziankę i zawołał donośnym głosem — A wiesz dlaczego? Bo obydwoje ciężko pracujemy!

— Hipolit — powiedziała błagalnym głosem matka.

„Teraz dopiero naprawdę się zacznie — pomyślał Andrzej — ale ja już przecież mogę wstać i wyjść

z tego pokoju, z tego domu. Mogę w ogóle opuścić to miasteczko. Teraz już mogę.”

I chociaż myśli ta już dawno zrodziła się w jego głowie, ogarnęto go nagle przerażenie przed nieznanym. Pojął, że tym razem nie jest to już tylko ścieżka wędrówki w strefę wyobraźni.

Przypomniał mu się urywek wiersza współczesnego poety:

„...wiem z czego składa się siła z wielu wykrętów kłamstw...”

Pochylił się i dźwignął w górę trylinkę, poczuł jak w palce wrzynają mu się jej ostre krawędzie, oparł ją, tak jak to robił Adam, o udo, bo w ten sposób łatwiej było nieść tę uformowaną z cementu i kamienia bryłę. Powoli, żeby się nie poślizgnąć i nie upaść, wspierał się po glazurze stoku fosy, puścił trylinkę w piasek i zbiegł w dół po następnej. Już wiele razy przebył tę drogę i zawsze, ilekroć miał rozluźnić trzymające trylinkę palce, wzrok jego zatrzymywał się na moment na wystających z piasku sztykach butelek z piwem, tak jakby ich zawartość przeznaczona była dla niego. A może właśnie dlatego patrzył tak na

ZOFIA STĄPOR

Wizyta

zacieram kurz zmęczenia
z powiek
w pajęczynie gestów

uciekają źrenice bram
w okna stuka krzak
wyrywany z samotności

wyciągam rękę
delikatne wiotkie gałązki
w klatce palców
opadają
nastroszone piórka

kropla rosy na otwartej dłoni
jest jak
uśmiech zmuszony do ucieczki



Fot. JÓZEF LIĞĘZA

krasć którąś. Ale po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że szansa powodzenia tej akcji jest bardzo niewielka.

Jak przez mgłę widział kolorowe sylwetki kobiet. Jedna z nich sypała łopatką żwir na świeżo zrobiony bruk, druga rozprowadzała go po powierzchni szeroką drucianą szotką. Obok nich, drobiąc śmiecznie grubymi, muskularnymi nogami, ogromny, zbudowany jak zapaśnik mężczyzna podnosił w górę i opuszczał, kolejno na każdy ułożony w piasku przez brukarzą kamień czy trylinkę, gruby, jak jego nogi żelazny stulek. Andrzej widział jak tamten dźwiga ten swój ciężar miarowo, pozornie bez wysiłku, ciągle na tę samą wysokość, ale widział też, chociaż nad głową tamtego wisiła słońce, jak pulsują pod jego skórą węży muskułów.

„Gdyby tak — pomyślał — przyszedł wiatr i zmącił to stojące, rozpalone powietrze.”

Pozostali zdawali się nie odczuwać tego żaru tamującego oddech, wysuszającego usta i gardło. Poruszali się bez chwili przerwy jak maszyny.

„Gdybym się nagle wyrzucił w piasek i udał zemdlonego, może by mi dali napić się trochę tego piwa”.

Czuł, że gdy popracuje tak dłużej w tym upale, to zacznie ich niemiawidzieć za te sterczące z piasku flaszki.

Sięgnął do kieszeni po chusteczkę i palce jego natrafiły na papierek

Od Krzyżowców do Ordonki

Do grobu Ordonki w Bejrucie jedzie się piękną nadmorską promenadą, skręcając później w aleję, wysadzaną cyprysami i drzewami o kwiatkach niezwykłej barwy, zwanych tam flamboyant. O grobie naszej znakomitej pieśniarki i diwy, której występy były zawsze dużym przeżyciem artystycznym międzywojennej publiczności, wiedzą nie tylko zamieszkałi w Bejrucie Polacy, co nie byłoby takie dziwne, lecz także marynarze naszych statków. Na płycie leżą często świeże kwiaty.

A grób ten stanowi jeden z kamieni milowych w długiej historii polsko-libańskich stosunków. Początki ich sięgają zamierzchłych wieków wypraw krzyżowych, których szlaki prowadziły przez Liban i uczestniczący w nich polscy rycerze mogli o kraj ten zaważać. Żadnych wszakże nie zostało po tym śladów. Dopiero w wieku XVI wkroczyły na grunt znacznie pewniejszemu.

Liczne pielgrzymki do Ziemi Świętej duchownych i świeckich panów pozostawiły po sobie pierwsze pisane wspomnienia. Z nich najcenniejszym zabytkiem jest słynny dziennik podróży ks. Mikołaja Krzysztofa Sierotki-Radziwiła. Wyruszył on przez Liban do Ziemi Świętej w kwietniu 1582 r., wsiadając na statek w Wenecji w otoczeniu swego kucharza, cyrulika i sześciu jeszcze podróżników. Jemu to właśnie zawdzięczamy pierwszy w języku polskim opis cedrów libańskich, które już wtedy były wielką rzadkością, a uchodziły za osobliwość nie lada. Widzieli „dwadzieścia i cztery drzewa cedrowe, które pilnie chowają ludzie tamtego miejsca, bo ich zgolił więcej tam nie masz. Drzewo cudne, rozłożyste, modrzewiowi podobne i dosyć wysokie, szyszki na nim podługowate”.

Okres poróżbiony, czas swoistej bezdomności Polaków i ich tułaczki, powiększa ilość podróźników i pielgrzymów. Z różnych przyczyn dużo ich przybywa na Bliski Wschód do Syrii i do Libanu. Jedni przelotnie, inni na stałe. Do najbardziej znanych postaci należy słynny „ziobrodca emir”, Wacław Rzewuski, pisarz, żołnierz, podróżnik... Był w Libanie i Syrii, w Aleppo założył nawet swoją rezydencję, odwiedził Damaszek i Baalbek, zwiedził tam potężne ruiny świątyni Jowisza. Pierwszy z Polaków dotarł do Palmiry, gdzie dziś prowadzi prace polska grupa archeologów pod kierunkiem prof. Michałowskiego.

Z wypraw swych, oprócz arabskich koni, w których się kochał, przywiózł do Świątyni Sybilli w Puławach kamień z ruin Baalbeku, a minerały syryjskie ofiarował Stanisławowi Staszcowi. Gdy wrócił do Polski, nie przestał nosić się po

arabsku. Chadzał w pasowej todze i w zawoju na głowie. Właściwie nie wiadomo, co się z nim stało. Legenda głosi, że w pobliżu Mekki żył długie lata Polak — pustelnik pod imieniem Hadajat-beja, zażywając wielkiego miaru wśród miejscowej ludności. Nie lubił mówić o sobie, o swojej przeszłości zwłaszcza. Był to podobno emir Rzewuski.

Najtrwalsze jednak wspomnienia po swoim pobycie na libańskiej ziemi pozostawił Juliusz Słowacki. Jego pobyt w Libanie wypadł na okres najpiękniejszej wiosny, a poeta zamieszkiwał przez półtora miesiąca nie w Bejrucie, lecz w odległym o 30 km od niego klasztorze, położonym koło miasteczka Ghazir. Zwał się on od pobliskiej osady Beit Chasz-bau, co oznacza „dom wśród drzew”. W tym właśnie klasztorze, z którego murów rozlaczka się bardzo piękny widok, Słowacki pisał „Anhellego”. Na pamiątkę jego pobytu została wmurowana tablica.

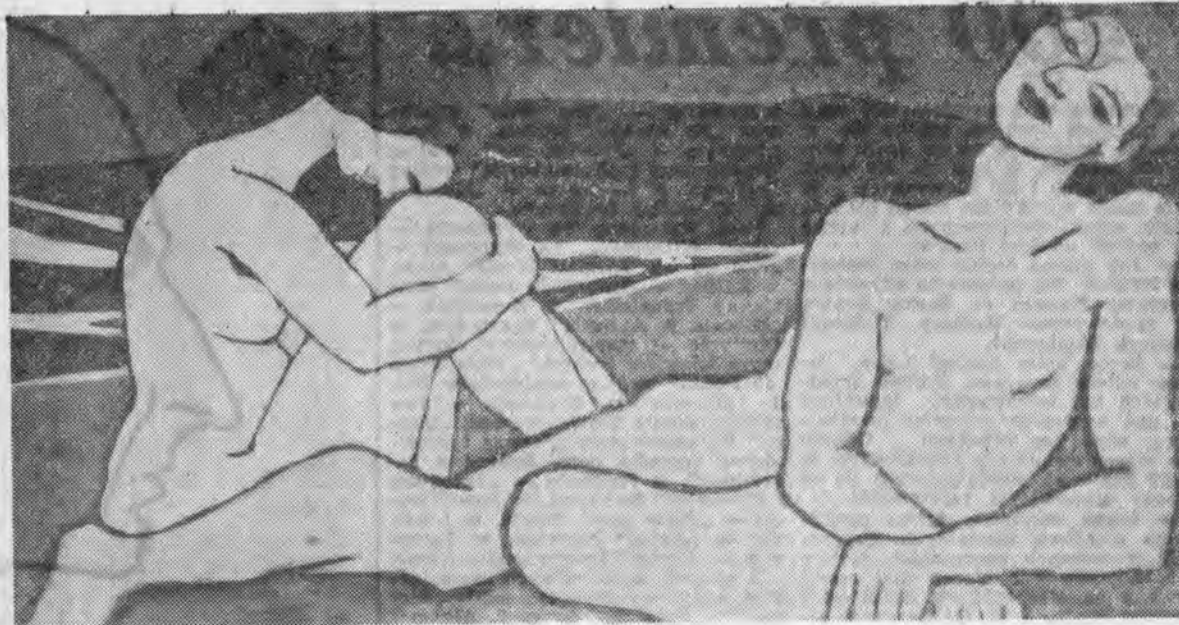
W Bejrucie nie można, niestety, ustalić miejsca zamieszkania poety. Najstarszy dziś hotel został założony już po jego wyjeździe. Być może, mieszkał w jakimś nie istniejącym już pensjonacie albo — co było wówczas tak modne — w klasztorze. Zachował się natomiast koło hotelu „Bassoul” mały muzeum-antyczny cmentarz, ulubione miejsce spacerów Słowackiego w Bejrucie. „Marzyłem kiedyś, będąc dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy” — pisał w liście do matki.

Po upadku powstania listopadowego na ziemi syryjskiej i libańskiej znaleźli się żołnierze i oficerowie aż tu falą wydarzeń przysgnani. Wśród nich był August Szulc i Henryk Dembiński, zastępca naczelnego wodza w powstaniu listopadowym po ustąpieniu Skrzyneckiego. Dembiński i Szulc wstawili się pracami geologicznymi. Szulc z polecenia rządu egipskiego zajmował się poszukiwaniami węgla kamiennego, a Dembiński opracował projekt kanału, łączącego Eufrat z Morzem Śródziemnym i mającego ułatwić komunikację z Indiami. Sprawa ta pochłaniała wówczas wiele umysłów, ale nie doczekała się realizacji wobec zbudowania Kanału Sueskiego. Dembiński jednak strzegł zazdrośnie do końca życia szczegółów swego projektu.

Józef Bem, który znalazł się w Syrii nieco później, przybył z projektem utworzenia arabskich pułków pod dowództwem polskim. Internowany w Aleppo zmarł tam na malarię.

Po wojnie krymskiej z resztek rozwiązanej dywizji polskiej powstał

(Ciąg dalszy na str. 4)



Na plaży (olej)

MARIA CICHORZEWSKA-DRABIK

26 czerwca 1965 r. z okazji dwudziestolecia CDU w operze odbyło się wielkie uroczyste zgromadzenie z udziałem delegacji z całej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Przed operę zajeżdżały dziesiątki samochodów i autokarów, trabantów i wartburgi, lśniące limuzyny dostojników partyjnych, państwowych i kościelnych.

Z loży prasowej doskonale widziałem całą salę, balkony i podium ze stołem prezydyjnym. Myślałem o tym, jak bardzo zmieniły się czasy. Berlińska „Staatsoper” gościła przecież w przeszłości cesarza Wilhelma II i pruskich oficerów na galowych przedstawieniach, tu przemawiali później Hitler, Göring i Goebbels...

Dzisiaj w sali operowej odbywa się wielkie zebranie, poświęcone m. in. podsumowaniu rezultatów walki z pozostałościami faszyzmu, walki od dwudziestu lat prowadzonej przez wschodniemiecką CDU pod kierownictwem SED, kontynuowanej najlepszą tradycją niemieckiego ruchu robotniczego.

Zauważyłem na sali stosunkowo dużą liczbę kobiet, orientacyjnie obliczyłem, że stanowią one około 40 proc. ogółu obecnych. Ponieważ zebrane w Berlinie delegacje poszczególnych komitetów i organizacji CDU były reprezentatywne, można więc wnioskować, że udział kobiet w działalności chrześcijańskiej demokracji w NRD jest niemały. Spotrzałem też wielu pastorów ewangelickich.

Przy stole prezydyjnym zasiadł przewodniczący CDU, August Bach, sekretarz generalny stronnictwa, wiceprzewodniczący Rady Państwa NRD, Gerald Goetting, członek Biura Politycznego KC SED, Hermann Mattern, działacz pokoju z Niemiec zachodnich, Wilhelm Elfos, przewodniczący Stowarzyszenia PAX, Bolesław Piasecki, ks. Józef Plojhar z Czechosłowacji oraz biskup ewangelicki w Turynii, dr Moritz Mitzenheim.

Dekoracja sceny, na której ustawiono stół prezydyjny, urządzona została skromnie, lecz estetycznie.

Uwagę zwracała umieszczona na tle barw narodowych NRD wielka odznaka partyjna CDU z napisem: EX ORIENTE PAX. Odznaki z tym napisem widziałem na klapach ubrań większości uczestników zebrania; przy okazji dowiedziałem się, że zachodniemieckie CDU posiada podobne odznaki, lecz oczywiście bez napisu głoszącego pokój. Jest to szczególnie bardzo charakterystyczny i wymowny. Pod wielką odznaką ponad podium prezydyjal-

**STANISŁAW
MARKIEWICZ
ex
oriente
pax**

nym widniało hasło: „Für Deutschlands Frieden, für Deutschlands Zukunft” (Dla Niemiec pokój, dla Niemiec przyszłość).

Berlińska Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją prof. Horsta Foerstera odegrała hymn państwowy NRD, a następnie „Uwerturę 1812” Piotra Czajkowskiego, zakończoną „biciem dzwonów”, najpięknym i potężnym i triumfalnym, płynącym jak gdyby z wież wielkich kościołów i katedr, później słabnącym, dobiegającym z oddali, cichym dzwonieniem sygnaturki wiejskiego kościółka.

Zebranie otworzył Gerald Goetting, po nim główny referat wygłosił August Bach, przewodniczący CDU. Przedstawił on zarys dwudziestolecia historii wschodnio-

niemieckiej chrześcijańskiej demokracji, wskazał na zasadniczą różnicę kierunku rozwojowego CDU w NRD i CDU w NRF, mówił o zasługach swojego stronnictwa w przewycięzaniu materialnych i moralnych skutków władzy reżimu hitlerowskiego, podkreślił wkład, jaki CDU wespół z SED wniosła w kształtowaniu pierwszego socjalistycznego państwa niemieckiego.

Kolejnym mówcą był członek Biura Politycznego KC SED, Hermann Mattern. Powitał on zgromadzenie w imieniu kierownictwa SED, życzył owocnych obrad, z uznaniem wypowiedział się o rezultatach dwudziestolecia działalności CDU w NRD, szczególnie mocno akcentował zasługi CDU w dziedzinie umacniania jedności marksistów i chrześcijan w kształtowaniu nowych, demokratycznych, pokojowych, socjalistycznych Niemiec. Kończąc, Mattern wyraził nadzieję, że przyjaźń między CDU i SED scementowana w ostatnim dwudziestolecu, umacniana będzie również w następnych dziesięcioleciach.

Zwróciłem uwagę na to, że zarówno w referacie Augusta Bacha, jak i w przemówieniu Hermanna Matterna, bardzo często padało słowo: patriotyzm. Tak jak nigdy dotąd podkreśla się w NRD potrzebę patriotycznego zaangażowania obywateli w budownictwie socjalistycznym.

Po Hermannie Matternie przemówił biskup Turynii Moritz Mitzenheim. Jest to starszy wiekiem duchowny, siwy jak gołąb, o dostojnym wyglądzie pastora. Na jego pierś polyskiwał wielki mosiężny krzyż. Biskup mówił o tym, że ludzie w swej masie nie są specjalistami, fachowcami w dziedzinie polityki. Od szeregu dziesięcioleci polityka staje się dyscypliną nadzwyczaj skomplikowaną wymagającą dobrej znajomości rzeczy i dużej wiedzy. Sprawa niezmiernie ważną jest polityczne kierownictwo i przewodnictwo nad obywatelami. Różnie i przez różnych ludzi może być ono sprawowane, może prowadzić obywateli ku dobru i sprawiedliwości, a może też wieść ludzi do zła, niesprawiedliwości i zbrodni. Naród niemiecki zdobył tutaj ciężkie i przykre doświadczenia. Dlatego też dzisiaj, pomny tych doświadczeń naród, powinien z rozwagą powierzać polityczne przywództwo ludziom i partiom, które na to zasługują, które przywracają Niemcom szacunek i zaufanie w świecie. Taką partią jest niewątpliwie — podkreślił biskup Mitzenheim — CDU w NRD, która w sposób właściwy sprawowała przywództwo polityczne wśród swoich członków i sympatyków, wywierała i wywiera pozytywny wpływ na szerokie kręgi społeczeństwa w NRD.

Polityczne przywództwo — ciągnął mówca — należy do partii politycznych, a nie do kościołów. Kościoły winny wiedzieć, że polityczna działalność wymaga fachowości. Zadaniami kościołów jest głoszenie i krzewienie zasad moralnych wynikających z ewangelii, uczenie ludzi ewangelicznej pobożności, która jednak powinna być pobożnością moralną na co dzień, a nie tylko od święta, nie tylko w ciągu jednej godziny, spędzonej na nabożeństwie w kościele. Kościoły nie zajmują się polityką, bo to do nich nie należy, jednakże nie powinno być dla nich rzeczą obojętną, kto i jaką politykę uprawia, czy jest ona zgodna z zasadami ewangelii, czy też nie. Polityka wschodniemieckiej CDU — powiedział biskup na zakończenie — pokojowa działalność całej NRD jest jak najbardziej zgodna z sumieniem chrześcijanina i wymaga czynnego, aktywnego poparcia. Przemówienie (Ciąg dalszy na str. 4)

pięćdziesięcioletni. Dopiero teraz uświadomił sobie, że są to po raz pierwszy w jego życiu, naprawdę jego własne pieniądze, z którymi, nie kryjąc się przed nikim, może zrobić co zechce. Bo dotąd, gdy dawano mu je na coś, zawsze musiał się z nich ścisłe wyliczać. Czasem udawało mu się urwać kilka złotych, ale zdarzało się to rzadko.

Schował banknot i wszedł w koło kieratu. Przez kilkanaście minut pracował równo, w takt rytmu narzuconego przez Adama i Trzeciego, ale stopniowo odległość pomiędzy nim i Adamem zaczęła się powiększać i daremnie starał się ją utrzymać. Coraz bardziej ciążyły mu bryły trylinki. Oddech Trzeciego, do którego czuł niechęć od samego początku (może z powodu jego cofniętej brody, która, kiedy się śmiał, zapadała się jeszcze mocniej i odsłaniała obrzydliwe krwisto-białe dziąsła), chrząkał tuż za jego uchem, i niemal czuł na karku ciepło tego oddechu.

„Jeszcze naprawdę zemdleję” — pomyślał.

Spojrzał na słońce, jakby to jego spojrzenie mogło popchnąć planującą kulę ku wiszącej w dali granatowej przedzie lasu, „oni już dawno wyszli ze szkoły — pomyślał — chyba leżą teraz na trawie w parku, albo nad Wisłą. W domu już na pewno po obiedzie. Rodzice siedzą przy stole...

a może dziś matka nie gotowała obiadu?”

Rzucił trylinkę w piasek, tuż obok pięty Adama, zbiegł po skosie skarpy, schylił się po następną i poczuł, że ręce mu drżą, a palce zacisnięte na bryle trylinki grabieżą, jakby je ścisnął mróz. Oderwał ją od ziemi i z trudem zaczął piąć się po pochyłości skarpy. Słony, piekący pot wypelził mu na czoło i zalał oczy.

„Czekolada” — pomyślał, ale przypomniał sobie, że ostatnią tabliczkę zjadł nad rzeką. Trylinka wysunęła mu się z rąk i stoczyła w dół. Niewiele brakowało, a byłaby zgniotła nogi Trzeciego. Ale Andrzej nie widział jak tamten uskakuje w bok, nie słyszał też przekleństw, które pobiegło w ślad za nim, gdy uchwycił z pustymi rękami na brzeg rowu. Pot palił mu oczy. Otarł wierzchem dłoni czoło i odgarnął mokre włosy; bał się dotknąć oczu, ażeby nie zaprószyły ich piaskiem.

Jak przez kolorową mgłę widział poruszające się plecy i ramiona brukarzy.

„Tylko nie zemdleć” — pomyślał ze strachem, bo wiedział, że jeżeli nie zdoła utrzymać się teraz na nogach, to nie szybko znowu potrafi się podnieść. A niczego tak nie pragnął, jak kawałka zimnej, wilgotnej ziemi, na której mógłby się położyć.

I zateśknął nagle, po raz pierwszy chyba w swoim życiu, do tej zniekształconej przez siebie, przesyconej wilgocią, tak skąpo ogrzewanej słońcem klatki pokoju, w której pod

grozą znajdujących się za nim drzewi, przez tyle popołudni patrzył przez oddzielającą go od świata szybę.

Podniósł głowę i napotkał oczy brygadzysty, małe, przyrmużone, jakby je raził blask słońca, które świeciło teraz za jego plecami. Czterdziestokilkuletnia twarz brygadzysty była szczupła. Na czubku głowy miał coś, co kiedyś było kapeluszem, ale pozabawiono go ronda, a w tym co po nim zostało, powycinano otwory w kształcie gwiazdek i elips. Spód tego komicznego nakrycia głowy, którego widok w innych okolicznościach doprowadziłby Andrzeja do wybuchu wesołości, wystawały kosmyki włosów.

Andrzej schylił się po szufel i kurzawo zacisnął palce na jej trzonku. Dłonie zapiekły go tak mocno, że nie potrafił powstrzymać jęku. Poczł się nagle słaby i bezbronny, i zrobiło mu się tak bardzo źal samego siebie, że o mało nie rzucił się z piacem twarzą w piasek.

— Ej, ty! — zawołał brygadzysta. Andrzej podniósł na niego zażalowane oczy. — Chodź no tu.

Zaczął iść powoli ku brygadziście, jego ręka trzymająca szufel zwiślała bezwładnie i szufel wleczona po piasku wrzyniała się w jego warstwą jak lemiesz pługa. Andrzej popatrzył ponad głową brygadzysty i uwagę jego przykuł świeżo zrobiony bruk, któremu dotąd, starając się utrzymać w kole kieratu, nie miał

czasu się przyjrzeć. Było już sporo tego, jakieś trzydzieści, może nawet czterdzieści metrów biegnących nowej drogi, dziesiątki równo ułożonych obok siebie brył kamienia i trylinki, które wydzwigaly tu i podaty brukarzem jego ręce.

Patrzył na nie i bał się mrugnąć powiekami, chociaż bolały go już oczy od tego patrzenia wyteżonego, i chociaż powinien był odwrócić od nich wzrok i spojrzeć na brygadzystę, który był tuż obok niego, może na wyciągnięte ramienia, ale ośwalał nim nagle paniczny strach, że gdy to zrobi, ten każe mu stąd odejść.

„Wiem z czego składa się siła” — przypomniał sobie fragment wiersza — „wiem” — pomyślał.

— Moja matka jest chora — powiedział — i przyszedłem tu, ażeby zarobić na lekarstwo dla niej i na książki, bo chciałbym się dalej uczyć po wakacjach. Ja...

Otoczyła go cisza. Umilkły młotki dzwoniące o kamienie i miarowy, głuchy odgłos słupka wlatującego je w piasek, i zgrzyt trących o nie szcotek.

Urwał i przyklnął oczy. Wiedział, że patrzył na niego, oni wszyscy — kobiety w kolorowych sukienkach, obrzym znad żelaznego słupka, brukarze, Adam i ten Trzeci, czuł jak do twarzy napływa mu gorąca fala krwi, a też, zupełnie jakby go dotykał, ich nieustępliwą wzrok na siebie.

„Życie to gra — pomyślał z rozpaczą — przecież życie to gra”.

400 premier...

W okresie od 1 września 1964 roku do początku lipca br. odbyło się w naszych teatrach w całym kraju około 400 premier, w tym ok. 200 sztuk współczesnych i 200 klasycznych. W tym czasie wystawiono ponad 100 polskich sztuk współczesnych i blisko 80 pozycji polskiej klasyki.

— Jak można ocenić sezon teatralny 1964/65? Na pytanie to odpowiada dyrektor Zespołu do Spraw Teatru w Ministerstwie Kultury i Sztuki Henryk Bieniewski.

— Sezon, który dobiegł końca, uznaje się za udany. Poziom przedstawień był wyrównany. Repertuar — pod względem osiągnięć interesujący, choć bez rewelacji. Odbyło się szereg ciekawych przedstawień w sferach żartowej, wyróżniających się od strony aktorskiej i reżyserskiej.

— Sezon cechowała dalsza stabilizacja placówek teatralnych. Podczas gdy w sezonach poprzednich dawały się zaobserwować nieraz zbyt częste zmiany na stanowiskach dyrektorów oraz w zespołach, w zakończonym sezonie nastąpiło dalsze ustabilizowanie, zarówno w kierownictwach teatralnych (z nielicznymi wyjątkami, jak Zielona Góra, Jelenia Góra, teatry katowickie), jak i — w znacznym stopniu — w zespołach. Niektóre placówki teatralne wzmocniły swe kadry, np. we Wrocławiu, gdzie nowe kierownictwo artystyczne (K. Skuszanka i J. Krasowski) rokuje jak najlżejsze nadzieje. Interesującym eksperymentem stało się przeniesienie na front wrocławski „Teatru 13 rzędów” z Opola. W Warszawie do najciekawszych przedstawień zaliczyłbym: w Teatrze Narodowym — „Uciekła mi przepióreczka” według Zeromskiego, „Kurka wodna” Witkacego i „Żywy Józef”. W Teatrze Polskim — „Anioł na dworcu” Abramowa, w Współczesnym — „Kto się boi Wirginii Woolf” Albee i „Tango” Mroźka, w Ateneum — „Niech no tylko zakwitną jabłonie” Osieckiej, w Dra-

matycznym — „Don Juan” Frischa oraz „Po upadku” Millera, w Powszechnym — „Przedwiośnie” według Zeromskiego i „Kolumbowie” według Bratnego, w Ludowym — „Myszy i ludzie” według Steinbecka.

Poza Warszawą, we Wrocławiu — „Oni” Witkacego, na Wybrzeżu — „Kto się boi Wirginii Woolf” Albee, w Kaliszu — „Pamiętnik matki” Marcjanny Fornalskiej, w Koszalinie — „Ifigenia w Aulidzie” Eurypidesa, w Olsztynie — transmitowany również przez telewizję spektakl „Moja droga do Polski” według pamiętników Hejdy Macoch, w Krakowie — dwa przedstawienia Teatru Starego: „Matka” Witkacego oraz „Żalona i prawdziwa tragedia pana Ardena z Faversham”, w Poznaniu — „Antoniusz i Kleopatra” Szekspira, w Nowej Hucie — „Puste pole” Hołuj, w Lublinie — „Aktor” Norwida, w Tarnowie — „Fizycy” Duerrenmatta i inne.

Z naszych współczesnych dramaturgów najwięcej premier miały trzy sztuki: „Anioł na dworcu” Abramowa, „Niech no tylko zakwitną jabłonie” Osieckiej i „Ktoś nowy” Domańskiego (która zainteresowała się również teatry zachodnie). Potwierdza to opinie, że polskie sztuki współczesne mają szansę nawet dużej popularności.

— Nasze teatry odniosły ponadto szereg sukcesów za granicą. Np. Teatr Narodowy — występował we Włoszech i NRD. Po tych przedstawieniach otrzymał wiele zaproszeń także z innych krajów. Z gorącym przyjęciem spotkało się tournée Teatru Współczesnego po Jugosławii i Bułgarii. Teatr Powszechny cieszył się wielkim powodzeniem w ZSRR, a Pantomima z Wrocławia, która uprzednio występowała w różnych krajach europejskich, odwiedziła w tym sezonie USA. Niezależnie od tego, kontynuowane były wymiany teatralne o charakterze lokalnym w poszczególne teatry zagranicą. Tak np. teatr lubelski wymienił wizytę z teatrem w Brześciu, Olsztyn z Kaliningradem, Teatry Powszechnie w Warszawie i Łodzi — z teatrami praskimi, teatr rzeszowski z teatrami we Lwowie i CSRS. Natęższe kontakty, jak z tego widać, były z ZSRR i CSRS. Pragnęlibyśmy, aby ta obustronna wymiana, niezwykle cenna dla każdej ze stron, rozszerzyła się na dalsze kraje — Węgry, Rumunię, Bułgarię.

Notowała
JANINA KAPUŚCIŃSKA



JAN MATERNICKI - ARTYSTA MALARZ
RYS. J. SIENKIEWICZ

Czy „LGP-30” zbłądzi pod strzechy?

„Biała lampa śmieje się na czworakach... Słońce płacze na zakochanej szafie... Mała dziewczynka bierze połowę świeżej wycieczki...”. Te zadziwiające fragmenty pochodzą z wydawnego w Quebec tomu poezji, którego autorem jest tajemniczy „LGP-30”. 1300 egzemplarzy zbiorku nawet dość szybko się rozszedło wśród spragnionych nowinek literackich czytelników. Niektórzy z krytyków literackich, holdujących — jak oświadczyli — „antypoezji”, wyrazili nadzieję, że ukrywający się pod kryptonimem

autor z pewnością obdarzy ludzką dalszymi swymi utworami. Ale oto w jednej z gazet ukazała się biografia tajemniczego „LGP-30”. Jest to mianowicie zainstalowana w montrealskim uniwersytecie, elektronowa maszyna licząca, dla której zaprogramowano 600 słów francuskich „z zaleceniem” użycia ich w zdaniach, uwzględniających zasady gramatyki i składni. Już po paru godzinach „LGP-30” „zaimprovizowała” kilka tysięcy „lirycznych białych wierszy”, z których część wydano w Quebec.

ex oriente pax

(Ciąg dalszy ze str. 3)

biskupa zostało nagrodzone goracymi oklaskami.

Następnym mówcą był ks. Józef Plojhar. W imieniu Katolickiej Partii Ludowej w Czechosłowacji powzrostował on jubileuszowe zgromadzenie CDU i życzył bratniemu stronnictwu dalszej owocnej działalności. Plojhar jest świetnym mówcą, przemawiał bez kartki, po niemiecku. Powiedział on m. in., że NRD zadziwia świat swą pracowitością, osiągnięciami w dziele odbudowy i rozbudowy, NRD jest pierwszym państwem niemieckim, które głosi idee pokoju, a nie podboju. Różnie znaczenie i autorytet międzynarodowy NRD, do czego CDU w poważnej mierze się przyczyniła. Na zakończenie Plojhar dziękuje kierownictwu CDU za serdeczny stosunek do Czechosłowacji.

Z kolei zabiera głos Bolesław Piasecki, który w imieniu Stowarzyszenia PAX składa życzenia kierownictwu CDU. Przemawia również przedstawicielka zachodniemieckich działaczy pokojowych, Mira von Kuehlmann.

Przy okazji warto dodać, że na sali obecni byli ponadto przedstawiciele różnych organizacji pokojowych z Francji, Szwecji, Szwajcarii, Finlandii i Anglii.

Zebrań dobiega końca. Uchwalono jeszcze telegram do przewodniczącego Rady Państwa NRD, Waltera Ulbrichta, jeszcze raz krótko przemawiają August Bach i Gerald Goetting. Jeszcze raz powtarzane są słowa o zgodnej współpracy marksistów i chrześcijan, słowa o pokoju i przyjaźni między narodami.

Sprzed opery Brama Brandenburska (na której żołnierze polscy dwadzieścia lat temu zatknęli biało-czerwony sztandar) i biegnący tuż za nią graniczny mur berliński są doskonale widoczne. Mur ten symbolizuje nieprzyjaźń i wrogosć zachodniemieckich sił militarystycznych. Mur ten ochrania NRD i Polskę.

STANISŁAW MARKIEWICZ

Od Krzyżowców do Ordonki

(Ciąg dalszy ze str. 3)

stał za sprawą Michała Sadyka Paszy Czajkowskiego drugi pułk kozaków otomańskich, składający się wyłącznie z Polaków pod dowództwem majora Ludwika Monasterskiego, odkomenderowany do Libanu z miejscem postoju w Bejrucie. Pułk posiadał polską komendę, własny biało-czerwony sztandar i stanowił ostatnią po powstaniu styczniowym polską formację wojskową na obczyźnie.

Dziwnie płotą się dzieje Polski, Libanu i Syrii. Przepływają tedy ludzie różnych zawodów, temperamentów i charakterów. Poeci, zakonnicy, awanturnicy, politycy, lekarze, inżynierowie, żołnierze, artyści...

Druga wojna światowa zapisała się także w dziejach naszych stosunków ogromnym napływem uchodźców, którzy zjawili się na bejruckim bruku już na jesieni roku 1939, korzystając z serdecznego i nacechowanego współczuciem przyjęcia, jakie miejscowa ludność im okazała.

W roku 1940 na terenie Syrii i Libanu pojawiać się zaczęły tysiące żołnierzy polskich. Wiosną utworzono jednostkę, która następnie przybrała nazwę Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Miejscem organizacji i postoju Brygady było miasteczko Homs w Syrii. Między Bejrutem a Damaszkiem, na samej granicy Syrii i Libanu, wśród nagłych skał, znaleźć można tablicę, która upamiętnia miejsce postoju II Brygady Strzelców Karpackich. W następnych latach przewijają się także przez Syrię i Liban jednostki wojskowe polskie, w Bhamadynie, niedaleko Bejrutu, zostaje założone nawet polskie sanatorium wojskowe dla chorych na płuca; z Bejrutu wrzeszczą, po raz ostatni, przemawia przez radio gen. Sikorski na kilka dni przed swym tragicznie zakończonym lotem.

Przechodząc od wspomnień do dnia dzisiejszego, można stwierdzić, że stosunki polsko-libańskie rozwijają się nadal pomyślnie, przeszły tylko — ze zrozumiałych przyczyn — w nową jakość. W portach Latakii i Bejrutu często zjawiają się polskie bandery, w sklepach można spotkać niespodziewanie ekspedientów, mówiących trochę po polsku... Wydaje się jednak, że wzajemna znajomość naszych krajów i naszych spraw jest nieproporcjonalnie mała do wielkości tych stosunków.

TADEUSZ ROJEK

WACŁAW SADKOWSKI

Literatura pisze dzień współczesny

Często w ciągu ostatnich miesięcy wracamy pamięcią do wydarzeń sprzed lat dwudziestu, wydarzeń z różnych dziedzin życia; tak to się już dzieje w latach jubileuszu.

A czy pamiętacie sytuację literacką z pierwszych dni nowej Polski, kiedy pisarze rzeczywiście odczuli głęboką zmianę swej sytuacji społecznej? Pisarstwo przestało być wtedy prywatnym „wolnym zawodem”, stało się — zawodem społecznym. Nowa władza okazała się troskliwym mecenasem. Domy literatów zakładano nieraz wcześniej niż urzędy państwowe. Pisarze stali się nagłe potrzebni, tak jak przed wrześniem byli (sanacji) obojętni lub wręcz niepożądani. Literatura stała się niezbędnym elementem ogólnego planu odbudowy społeczeństwa. Któż to powieść mogła przed wojną osiągnąć pięć lub zgoła dziesięć tysięcy egzemplarzy? Jaki poeta mógł marzyć o trzech tysiącach nakładu swego tomu?

Ale istota zmiany w sytuacji literatury tkwiła głębiej. Zarzyły się jeszcze ostatnie ognie wojny, całe życie społeczne i psychiczne trzeba było budować od nowa i na nowo. Literatura miała pełne ręce roboty. Wnet rozwinęły się batalie o jej nową treść i nowy kształt, batalie, do których warto niekiedy dziś zajrzeć. Chodziło w nich o twórczość zaangażowaną w proces odradzania się narodu po klęsce wojennej, proces jego rewolucyjnych przemian — o realistyczną, sprawiedliwą ocenę wojennej przeszłości i wyniesionych z niej doświadczeń, o właściwe rozumienie mechanizmu procesów dziejowych, fałszowanego przez mistykę, z którą toczyła się wówczas gorąca i ostra dyskusja. Chodziło wreszcie o gospodarski, przyjazny, podsytkowany chęcią pomocy stosunek do rewolucyjnego rozwoju życia kraju, o zawrócenie zbłąkanych ze złych dróg i skupienie całego wysiłku społecznego przy budowie nowej ojczyzny, o której Tuwim napisał: „Nasz dom z cementarza podźwignięty...”

Wśród bardzo różnych zainteresowań i potrzeb codziennej lektury, które w większym dziś niż kiedykolwiek stopniu czytelnik może zaspokajać, jedna zwłaszcza wydaje się szczególnie pilna i ważna.

Zastanawiano się nieraz nad przyczynami popularności radiowego, słuchowiska „Matysiakowie”. Pomijając pewną atrakcyjność radiowej formy, świetność roboty aktorskiej — sam temat wydaje się odgrywać tu rolę decydującą. To ono — powszednie, codzienne życie — jest głównym i najbardziej pasjonującym tematem współczesnym i ono właśnie jest „pierwszą potrzebą” czytelnika. Czytelnicy pragną odnaleźć na kartach książki — siebie, swoje życie i codzienne troski, radości, nadzieje; i jeszcze czego najbardziej pragną, to żeby ta książka nie była zbiorem urywków, lecz powieścią, żeby się ciągnęła w czasie, toczyła poprzez wydarzenia — jak życie.

Nic się na to nie poradzi, choćby się to nawet uznało za najgorszy banal: powieść współczesna pozostanie najmiłszym, najbardziej oczekiwanym gościem na zimowe wieczory — i także na potem, na wiosenne popołudnia, na letnie lektury urlopowe, na powszedni dzień czytelnika. Choćby nie wiem ilu krytyków ogłosiło śmierć powieści, to przecież naprawdę nie ona umarła, jak trafnie pisał kiedyś Adolf Rudnicki w notatkach o Dostojewskim.

Oczywiście, tu chyba, w dziedzinie powieści współczesnej, tkwią główne problemy, główne trudności, które pokonać ma literatura. Nie można ich nie widzieć — ale nie można też nie wiedzieć, że nigdy nie było i nie może być literatury bez walki z trudnościami,

bez ich pokonywania, bez trudu przeniknięcia i zrozumienia najtrudniejszej problematyki współczesnej. Nikt odpowiedzialny spośród twórców literatury — oraz jej współtwórców, wydawców i organizatorów życia literackiego — nie może się od tego czytelniczego, społecznego zamówienia uchylać. I tak zwlekano z nim dość długo. Dopiero ostatnio obserwujemy pewne ogólniejszej natury zjawiska twórcze, świadczące o poważniejszym rozbudzeniu ambicji literackich w tej dziedzinie. Myślę tu głównie o serii powieści nagrodzonych na dwóch ostatnich konkursach: śląskim, górniczym i konkursie Wydawnictwa Poznańskiego.

Kiedy mówimy dziś o literaturze zaangażowanej jako o najważniejszej, najbardziej cennej i oczekiwanej — nie chcemy przez to zamykać drogi innym dziedzinom i rodzajom pisarstwa, innym, bardzo niekiedy „pięknoduchowskim” jego funkcjom i oddziaływaniom. Nie ma na to jednak żadnej rady — literatura polska, jej główny nurt historyczny wyrastał zawsze ze służby społecznej, miał zawsze pełne ręce roboty w życiu społecznym i nie nie zdaje się wskazywać, żeby tej roboty dziś brakło.

Kiedy więc mówimy dzisiaj o zaangażowanej, współodpowiedzialnej za rozwój życia społecznego literaturze — to oczekujemy takiej literatury, która uchwyci treść dzisiejszego życia w jego różnorodnym bogactwie, z serdeczną troską, by nasycić to życie humanistyczną treścią. To są znów oczywiście pojęcia ogólne, ale przecież chodzi o to właśnie, by się stały literacką rzeczywistością — wtedy przestaną być ogólnikami.

Znów jakby powtarza się w naszej literaturze sytuacja z pierwszych lat powojennych, kiedy toczyły się wielkie dyskusje o potrzebie powieści współczesnej — i dopiero pojawienie się pierwszych literackich spełnień postulatów, które były w tych dyskusjach wysuwane, posunęło istotnie naprzód rozwój literatury. Pierwszym wcieleniem literackim dyskusji o powieści współczesnej był wtedy „Popiół i diament”. Dziś są to książki Siekierskiego, Pierchały, Wantuły, Mader, Jesionowskiego, Znamierowskiego.

I znów główny ciężar spoczywa na pisarzach zaangażowanych, na pisarzach partyjnych — w sensie dosłownym i szerszym, w sensie aktywnego, współodpowiedzialnego stosunku do rzeczywistości. Od nich powinien pójść przykład bojowej twórczości, oni powinni utworzyć literaturze drogę ku pełnemu zrozumieniu i sprawiedliwej ocenie współczesności i oni mają pokonać główne trudności wiążące się z naczelną, najtrudniejszą dla pisarza współczesnego problematyką.

Cała tradycja władzy ludowej jest tradycją wyzwolenia twórczości, roztoczenia nad nią mecenatu, jej zaangażowania w rewolucyjny rozwój narodu. Cała zaś tradycja wielkiej literatury w naszym kraju przeciwna jest tej „niemożności”, o której pisał Norwid:

„Wielki to błąd ze strony tych, którzy mniemają, iż funkcja słowa psuje się w zetknięciu z życiem czynnym, jak gdyby działanie i myślenie nie były to dwa bieguny jednej całości i jak gdyby czas bardziej serio nakładał mus inny niż ten: przemawianie serio”.

Tej wielkiej szansy naszej literatury mamy prawo upatrywać nie gdzie indziej jak właśnie w pisarstwie zaangażowanym w sprawę współczesności.